

Emocje nie tylko artystyczne

W 1985 roku, podczas rozmowy ze swoim serdecznym przyjacielem, ryskim architektem Janisem Pipursem stwierdził, że chciałby mieć jakąś szczególną pamiątkę z pobytu w Rydze. Janis po krótkim namyśle zaproponował, by odwiedzili małżeństwo wykładowców Łotewskiej Akademii Sztuk Pięknych, z którymi on i Lielta serdecznie się przyjaźnią. Państwo Bumanis zaprosili ich do siebie, do pracowni na ryskim Starym Mieście. Podczas miłego spotkania dowiedział się, że Aija, pani domu, często wystawia swoje prace za granicą. Ostatnio miała duży wernisaż w Japonii.

Umówili się, że treść obrazu będzie niespodzianką i namaluje go Arvids Bumanis. Niespodzianką była również cena, którą ustalono na pięćset rubli, nie zostawiając pola do negocjacji. Były to dwie dobre ryskie pensje, czyli dość dużo. Rok później zadzwonił Janis z informacją, że Arvids zaprasza na kolację i po odbiór obrazu. Podczas kolacji poszli do pracowni i wtedy Arvids odsłonił obraz stojący na sztaludze. O piękniejszej pamiątce z Rygi trudno nawet marzyć. Obraz olejny o wymiarach 80 x 73 cm zrobił na wszystkich duże wrażenie.

Namalowany na płótnie, pozostawiony w oryginalnym, czarnym blejtramie, zatytułowany był *Riga Jaunsaunies*.



Jego treść stanowią motywy społeczno-historyczne na tle starej architektury miasta. Historię Rygi tworzyli bowiem nie tylko rdzenni Łotysze. Ziemia Kurlandii była we władaniu kilku państw, co wywarło wpływ na jej kulturę, architekturę i język. Obraz pokazuje akcenty szwedzkie, rosyjskie, niemieckie i polskie. Statki cumujące przy starej przeprawie mają bandery wielu krajów. W dolnej części obrazu znajdują się udane scenki rodzajowe: przejeżdżający na koniu kupiec, przekupki i kupujące, z których jedna trzyma w ręku rybę. Obok stoi mężczyzna – najprawdopodobniej, sądząc po stroju – duchowny. W dolnej części obrazu dwaj chłopcy grają na skrzypcach i flecie. Na prawym skraju obrazu stoi czule żegnająca się para. Pies, siedzący na brzegu, jest świadkiem toczących się wydarzeń. Żołnierz strzeże przeprawy przez rzekę Dźwinę, prowadzącą do centrum Vecrigi, czyli Starego Miasta. Na drugim brzegu widać mury Ryskiego Zamku, kościoła Świętego Ekaba (Jakuba), małego kościółka katolickiego, katedry Domskiej z 1200 roku oraz wysoką wieżę kościoła Św. Piotra. Obraz wiernie pokazuje zabudowę z przełomu XV i XVI wieku. Przez 40 lat władzę w Rydze i Inflantach sprawowali Polacy – od 1580 do 1620 roku. W dolnym rogu obrazu widnieją inicjały jego autora: AB. *Arvids Bumanis*.

Później z przykrością dowiedział się, że nie spotka się już z Arvidsem. Zmarł 10 lat po ich ostatnim spotkaniu. W antykwariatach można spotkać jego książkę o sztuce malarstwa

napisaną w 1986 roku pt. *Ka naksno celavirs* wydaną przez ryskie wydawnictwo Liesma. Obraz namalowany dla niego wisiał przez kilka lat w mieszkaniu w Rydze.

W 1991 roku postanowił przywieźć obraz do Polski. Z wszelkimi dziełami sztuki i zabytkowymi przedmiotami, jak wiadomo, nie jest łatwo oficjalnie przekraczać granicę. A jak robi się to nieoficjalnie, trzeba liczyć się z ewentualnością ich konfiskaty przez służby celne. Z mienia przesiedleńczego, gdy jego kontener wyjeżdżał z Rygi pięć lat wcześniej, celnik wygrzebał stary rosyjski samowar z Tuły – prezent od kolegów z współpracujących firm. Nigdy go już nie zobaczył. Taka przykrość pozostaje na zawsze w pamięci.

Przed wyjazdem kupił jeszcze dwa nieduże współczesne obrazy, jeden z bajkowym widokiem wybrzeża Krymu, drugi – pejzażem brzegu morskiego. Razem ze *Starą Rygą* były więc trzy. Był piątek, a wyjazd samochodem zaplanował na sobotę rano. Pojechał z obrazami do Ministerstwa Kultury Łotwy by wypełnić druk i uzyskać zgodę na wywiezienie sztuki współczesnej. Drzwi ministerstwa zastał zamknięte. Niewielka karteczka informowała: W piątki nieczynne. W czasie przemian ustrojowych nie takie rzeczy się tam działy. Po latach tak bardzo chciał wreszcie zabrać obrazy do Polski, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zdecydował: zabieram je, trudno, będzie co ma być.

Rano zapakował je najlepiej jak umiał i schował w bagażniku samochodu, najgłębiej jak się dało. Jazda do granicy łotewsko-litewskiej nie trwała długo, chyba ze dwie godziny. W tamtym czasie na granicach Łotwy działy się prawdziwe cuda. Nowo powstałe państwo nie miało środków i doświadczenia, by zapewnić normalną odprawę. Zresztą co to znaczy: normalną?! Nawet nie zdążono jeszcze uchwalić nowych przepisów celnych, a radzieckie już nie obowiązywały. Łotewscy urzędnicy celni i wojskowi stosowali własne prawa, co w praktyce oznaczało, że za łapówki można było wywieźć wszystko. Oczywiście jeśli zgodził się na to naczelnik. W minorowym nastroju dojechał do granicy. Wygląd żołnierzy można było określić jako turystyczny. Cała ta zbieranina miała pozawijane rękawy, spodnie nie od munduru, gęby nieogolone, broń najróżniejszą. Jak tu zgadnąć, czy to nie mafia zainscenizowała fikcyjną granicę? Łotewski *Vabank*? Polscy partyzanci w lasach pod koniec drugiej wojny światowej prezentowali się lepiej.

Po chwili wahania zajechał pod bar, który był po lewej stronie drogi, zaledwie kilkadziesiąt metrów przed szlabanem granicznym. Zamówił herbatę i siedział z ponurą miną. Po dłuższej chwili zagadnął go jakiś młody mężczyzna, który uprzejmie zapytał:

– Co pan taki smutny, zabito panu kogoś?

Ładny początek, pomyślał sobie, nawet w barku mnie przepytują. Ale po paru zdaniach zorientował się, że rozmówcy dobrze z oczu patrzy, więc w przystępie jakiejś rezygnacji opowiedział mu o obrazach, które wiozł.

– Wie pan – rzekł jego interlokutor – jest na to sposób. Jak pan się cofnie ze dwieście metrów i pojedzie w prawo polną, a potem leśną drogą, a będzie to ze trzy kilometry, napotka pan na niej w lesie szlaban. Tam też jest granica, mało kto o niej wie. Teraz jest tam Janis. Powie mu pan, że jedzie od Aiwarsa, da mu z pięćdziesiąt rubli, to pana puści. A zaraz dalej to wyjedzie pan już na asfalt za łotewską granicą, w niczyjej strefie, ale przed litewskim posterunkiem granicznym.

Podziękował mu i postanowił zaufać. Trudno. Na wstecznym biegu, na oczach pograniczników i oczekujących w kolejce do asfaltowego głównego przejścia granicznego, przejechał nie dwieście, a ze czterysta metrów i skręcił w prawo, w pole. Tego, po czym jechał, drogą nie można było nazwać. Najpierw samochód zapadał się w bardzo głębokie dziury wypełnione wodą, później „droga” skręciła w gęsty las. Zaczął żałować swojej decyzji. Pomyślał, że pewnie zaraz ktoś go zatrzyma, walnie w łeb, zabierze auto, paszport, pieniądze i obrazy, a następnie albo zakopie, albo na golasa wypuści na jakichś wertepach.

Dróżka była coraz węższa, gałęzie coraz mocniej tłukły o szyby i karoserię. Był pewien, że zablądził, gdy nagle wyrosła przed nim poprzeczna drewniana belka. Podeszedł do niego bardzo młody, na zielono ubrany „przebieraniec”.

– Zdrastwuj Janis – powiedział prędko – ja ot Aiwarsa. I usłyszał: ok.

Dał pięćdziesiąt rubli i przejechał pod uniesionym drągiem, zadając sobie pytanie:

– Co ja tu robię i gdzie w ogóle jestem? Przez co właśnie przejechałem i gdzie wyjadę?

To, gdzie wyjedzie, zaraz się wyjaśniło. Zaledwie trzysta metrów od tej zielonej granicy dróżka nagle wyprowadziła go na tę samą, asfaltową, główną drogę w kierunku Litwy.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie drobny szczegół. Otóż wyjechał na asfalt wprawdzie za posterunkiem łotewskim, ale zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego. Nie zatrzymał się, lecz spojrzął w lusterko. Za posterunkiem zobaczył barek, w którym dopiero co pił herbatę. Dostrzegł, że łotewscy żołnierze zobaczyli go. Jechał dalej, szybko myśląc:

– Mogą zaraz, cholera, wystrzelić...

I dopadła go refleksja: – Kurcze, cztery kilometry telepać się przez pola i las, żeby wyjechać kilkadziesiąt metrów od barku?!

Ale jechał, jechał dalej i... nic. Aiwars go nie nabrał. Dali sobie z nim spokój. Po chwili stanął przed litewską strażą graniczną i celną. Ci się niczym, poza paszportem i rejestracją samochodu, nie interesowali. Znów minęło parę godzin i pojawiła się granica litewsko-

polska. Kontrola litewska odbyła się po łebkach i wjechał do Polski. Odetchnął. Jego ryska pamiątka zawisła na ścianie w Warszawie, do dzisiaj go cieszy i jest powodem życzliwej zazdrości przyjaciół. I przypomina emocje z łotewskiej, ni to oficjalnej, ni to zielonej granicy. Takich granic w Europie chyba już nie ma. A granica ukraińsko-rosyjska, spytacie? Pewnie tak, ale czy tam w ogóle jest Europa?